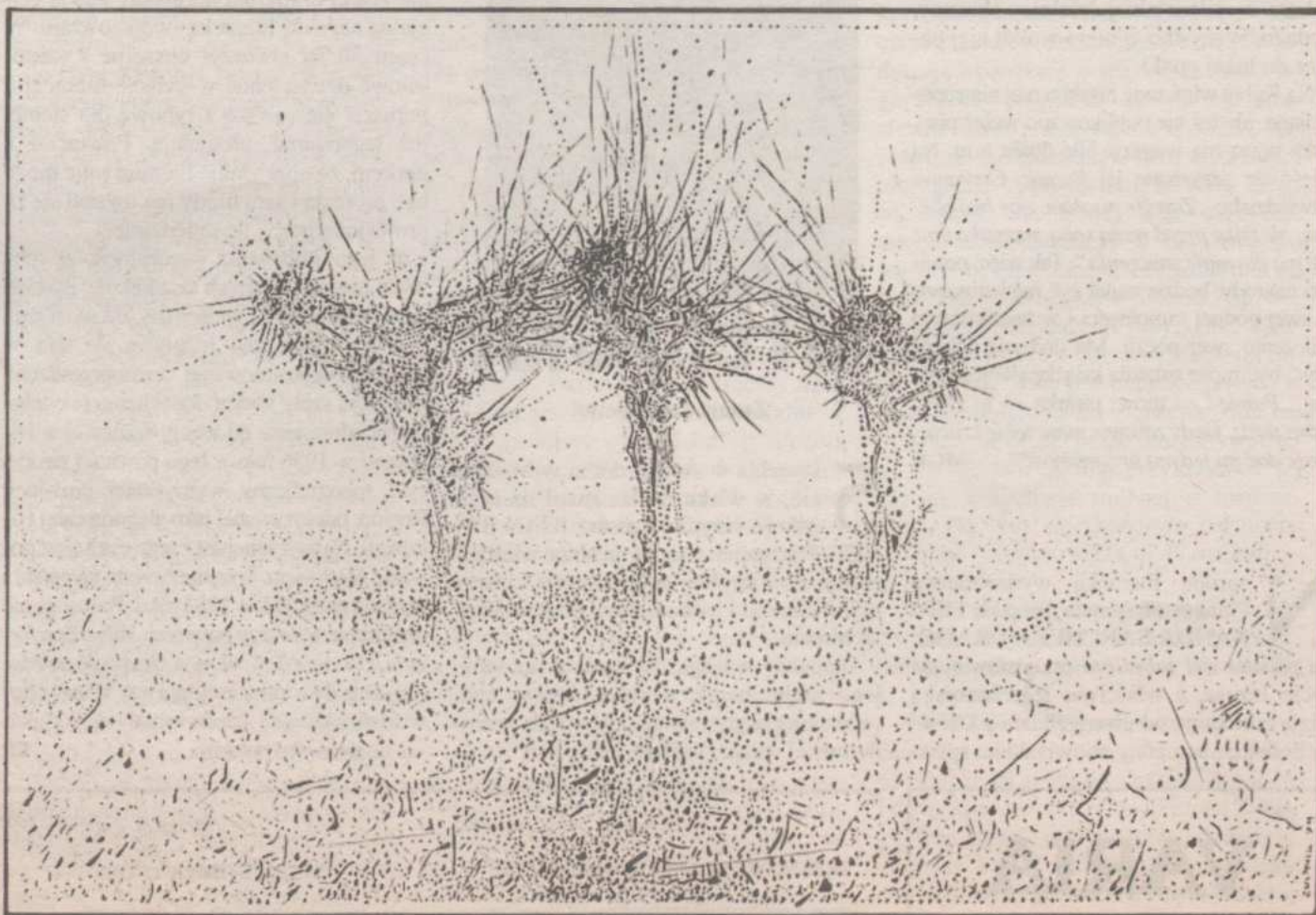


DEKADA Literacka

Sonety w przekładach Stanisława Barańczaka ■ Nieznany list Andrzeja Bobkowskiego do Kazimierza Wyki
Julian Kornhauser o ostatniej książce Jana Walca ■ Stanisław Frenkiel: Pochwała karykatury

Jak uporządkować dzieje dwudziestowiecznej literatury polskiej? Problem staje się coraz bardziej nagły, domaga się szybkiego rozwiązania, a zarazem — nastrocza niebывale kłopoty. Na ten temat wypowiadało się już szereg znakomitych badaczy, a przecież nie ma między nimi zgody. Wątpliwości budzi już data początkowa epoki (1905? 1914? 1918?). Trwa spór wokół kryteriów i zasad jej podziału. Rozpoznaniu najwyraźniej przeszkadzają różnice systemowe pomiędzy dwudziestoleciami i PRL, oddzielenie literatury krajowej od emigracyjnej, funkcjonowanie oficjalnego i nieoficjalnego obiegu książek. Dodać do tego należy wielość koncepcji teoretyczno-literackich, nadmierną świadomość metodologiczną oraz brak unifikującej nasze stulecie idei filozoficznej. Nie wspominając już o zasadniczym kryzysie myślenia historycznego, czego pośrednim rezultatem przewaga kierunków ahistorycznych, strukturalizmu, semiologii, dekonstrukcjonizmu, postmodernizmu. Może dlatego snując swoje wizje — Błoński, Sławiński, Balcerzan, Walas — podkreślają ich hipotetyczność i nieostateczność, subiektywizm i jawną stronniczość.

Ważnym głosem w tej dyskusji, która winna być kontynuowana — bo kiedyż wreszcie dołączymy się do porządku podręcznika historii literatury XX wieku? — jest, moim zdaniem, Jerzego Jarzębskiego *W Polsce czyli wszędzie*.



W POLSCE CZYLI ...

Aleksander Fiut

Opatrzona paradoksalnym tytułem książka ta, cała stoi na paradoksie: nie spełnia — przynajmniej przy powierzchownej lekturze — tego, co obiecuje, a równocześnie przynosi znacznie więcej, niż zapowiada. Gdzie bowiem owej Polski szukać? Podpowiada autor: wszędzie tam, gdzie losy zagnały jej byłych mieszkańców, w ich sercach, pamięci, wyobraźni. A przecież nie ma w tej książce analizy historycznego czy polityczno-społecznego doświadczenia Polaków. Owszem, prześwieca ono spoza interpretacji prozy Gombrowicza i Białoszewskiego, stanowi tło rozmyślań o powojennych perypetiach realizmu oraz towarzyszy interpretacjom powieści poświęconym kresom, ba, daje się wysledzić nawet w futurologicznych fantazjach Lema. Jarzębski jednakże raz po raz deklaruje niewiarę w możliwość ujęcia rzeczywistości, jak powiada, *in crudo*, dotarcie do prawdy o świecie bez refleksji nad kategoriami poznawczymi, mniej lub bardziej aporycznym założeniem filozoficznym, wreszcie — złożonymi i subtelnymi sposobami wcielania tychże kategorii i założeń w poetykę dzieł prozą, bo te głównie przyciągają jego uwagę. Na sformułowane zaś powyżej wątpliwości odpowiada: „Jeszcze

tam wszędzie Polska? Powiedzmy raczej, że jej obecność jest cząstkowa, czasem zdefektowana, że obecna jest raczej jako pewna porządkująca idea, tęsknota do rzeczywistości pełnej, sensownej, nie zakłamanej”. I dodaje: „Polskie włości w literaturze to miejsce, gdzie zadaje się wciąż od nowa pytania o własny rodowód, o naturę polskości, o aksjologiczną strukturę świata, który pisarze chcą poznać lub odbudować”. Owa „porządkująca idea” przyobleka kształt historycznie zmienny, uwikłany w doraźne konteksty polityczne. Ale też — zależny od stopnia samoświadomości, zakresu dostępnych rozwiązań artystycznych, które badacz *ex post* próbuje rekonstruować zgodnie z własnymi upodobaniami, wiedzą, bardziej lub mniej obowiązującą metodologią. Jarzębskiego, jak to już kiedyś deklarował, interesuje „światopogląd formy literackiej”. Czyli, mówiąc w uproszczeniu, pogranicze poetyki historycznej (głównie powieści), filozofii oraz socjologii odbioru. **Wszelako, formułując własne rozumienie polskości, niejako na marginesie, jakby mimochodem kreśli rozmaite projekty ujęcia całej historii literatury polskiej XX wieku. Co ciekawe — za każdym razem inaczej.**

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

John Keats (1795-1821)



**KIEDY DRĘCZĄ MNIE LĘKI,
ŻE ISTNIEĆ PRZESTANĘ**

Kiedy dręczą mnie lęki, że istnieć przestanę,
Nim pióro zbierze plony, co w mózgu się wichrzą,
Nim staną, ziarnem liter po brzegi napchane,
Stery książki, podobne ociężałym spichrzom;
Gdy widzę, jak twarz nocy, zdobną w gwiazd diamenty,
Obłok, ten znak rozkoszy niebian, lotnie zaćmi,
I myślę, że nie skończę tu na ziemi wszczętej
Pogoni za cieniami, tych obłoków braćmi;
I gdy przeczuwam — ważka, co żyje godzinę —
Że i twój widok zgon mi na zawsze odbierze,
Że nigdy całym sobą już się nie rozplynie
W magii miłości — wtedy na świata wybrzeże
Wychodzę — i w zadumie, sam, spoglądam w tonie,
Aż głąb nicości sławę i miłość pochłonie.

Tłumaczył Stanisław Barańczak

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

cej ściśle określoną wizję misji dziejowej Polski. W naszym odbiorze społecznym liczyła się literatura zdolna podbić świat. Ta młodzieńcza żądza wszechobecności w istnieniu nie miała sobie równej w dziejach powojennych. Te dyspozycje psychiczne wyzwoliła w nas lektura wieszczów. A nade wszystko pieśni Wernyhory recytowane przeze mnie na pamięć. Dla mnie była to: „wiedza radosna”. Największa szansa przetrwania.

Pociągała was też idea odrodzenia literatury chłopskiej?

Tak. To bardzo ważne! Polska zawsze była krajem rolniczym i powinna nim w dalszym ciągu pozostać. My nigdy nie wygramy technologicznego wyścigu z Zachodem, ani w tym ani w przyszłym stuleciu nie staniemy się drugą Japonią. Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie wierzy w możliwość doścignięcia Stanów Zjednoczonych. My na pewno nie zbudujemy tylu fabryk co Niemcy. A Zachód nam naszego przestarzałego przemysłu w całości nie zmodernizuje. Po co ma sobie na bliskim zapleczu sfinansować jeszcze jednego groźnego konkurenta, skoro ma już dość kłopotów z inwazją dużo tańszych towarów z Dalekiego Wschodu. Przecież to byłoby samobójcze szaleństwo — i tego w żadnym wypadku nie należy się po nich spodziewać. Polska granicząca z wiecznie głodną i nienasyconą Azją ma natomiast wszelkie dane po temu, by stać się olbrzymim zagłębiem rolniczym dla krajów dużo gorzej gospodarujących od nas. A to, że one w tej chwili nie mają czym płacić i nie są nam w stanie zapewnić atrakcyjnej wymiany towarowej o niczym jeszcze nie świadczy. Skazane na powolną śmierć głodową lub wędrowną ludów — która się rozpoczęła — muszą się gospodarczo podźwignąć, lub w nieustających wojnach domowych wykrwawić niemal do szczytnie. Jeśli do tego nie dojdzie, to ten rynek nieskończenie chłonny stanie się dla nas największą szansą rozwojową w bliższej czy dalszej przyszłości. My jak nasi mądrzy przodkowie przed pierwszą wojną światową, na tym handlu wzajemnie korzystnym zrobimy szalone pieniądze. A nasz przemysł rolnospożywczy zdecydowanie wysunie się na pierwszy plan. Nam dziś potrzebna jest wizja Polski farmerskiej... Na Zachodzie już zaczyna się ucieczka z wielkich metropolii. Wielkie i małe firmy z piekielnie drogiego i zatrutego śródmieścia, przenoszą się na dużo tańszą, zieloną, zdrową i czystą prowincję, gdzie dojazd do pracy nie jest nerwowo wyczerpującą torturą i męką codzienną. Nie ma stu korków, smrodu spalin, ogłuszającego huku, wrzasku i hałasu, astronomicznie wysokich cen za mieszkania — najdroższe w świecie lokale biurowe, które wkrótce już opustoszeją — bo nikt nie będzie chciał wpakować w nie gigantycznych pieniędzy. W okresie lawinowo narastającej recesji i groźby wielomilionowego bezrobocia, hofyśle z bankrutujących dzielnic wielkomiejskich przeniosą się tam, gdzie każdy z nich w krainie jezior i lasów ani grosza nie wyda na wakacje. Do pracy pójdzie piętach, cały świat obejrzy wieczorem na ekranie telewizyjnej satelitarnej. A z partnerami zamieszkałymi na przestrzeni pięciu kontynentów w ciągu pięciu minut skontaktuje się przez radiotelefon. Człowiek przyszłości zamieszka w wiosce planetarnej. A miliony ludzi uciekną z wielkich metropolii, zanim zabije ich czad rakotwórczy. Dlaczego o tym dzisiaj przypominam. Intencja moja jest jasna. Chcę dowieść komu należy, że nasz zaboronny kult literatury chłopskiej nie był żadnym sentymentalnym i folklorystycznym bzikiem regionalnym. Ani wyrazem naiwnej tęsknoty do walących się skansenów wiejskich. Lecz trafnym wycuciem żywiołowego narastania tych dalekonośnych trendów rozwojowych, które zadecydują o przeobrażeniu całego świata i Polski.

Rozmawiał: **Maciej Urbanowski**

Pierwsza wersja miałaby się oprzeć na dokładniejszej analizie najbardziej zasadniczych i natrętnie powracających obrazów-kluczy, sytuacji-symboli. Takim jest np. wizerunek domu w twórczości Witkacego, Schulza i Gombrowicza. Obraz, który rozszerza swoje znaczenie na ojczyznę i cały wszechświat, niejako po drodze wchłaniając symboliczny sens Kościoła. Ten wątek rozważań autor po dwóch pierwszych szkicach porzuca, a przecież i dalsze potwierdzają trafność jego intuicji. Nie trzeba dowodzić, że dom to kluczowa kategoria w literaturze emigracyjnej oraz utworach pisarzy z kresów. Wpisane weń znaczenia oraz związane z tym motywy: opuszczenia, wygnania, powrotu, prób ocalenia i rozpadu świadomości, konfrontacji tradycji ze współczesnością, swojskości z obcością — jak w soczewce skupiają to, co najbardziej istotne w społecznym, historycznym i kulturowym doświadczeniu Polaków dwudziestego wieku. Dom to niewąt-

podjęty przez Tomasza Burka, nigdy nie doczekał się realizacji. Może, poza pojęciami modernizmu czy awangardy, warto byłoby posłużyć się innymi? Na przykład: postmodernizmem (nawet biorąc pod uwagę jego mankamenty)?

Jarzębski, w swojej nieograniczonej szczodrości podsuwa jeszcze jedną możliwość, wprowadzając kategorię gry, co u autora *Gry w Gombrowicza* niezbyt w końcu zaskakuje. Swoje rozważania o Witkacym, Schulzu i Gombrowiczu zamyka konkluzją: „*Koncepcja istnienia i pisania jako gry (...) pozwoliła uchwycić i wypowiedzieć rodzaje się tutaj dylematy: poczucie nieautentyczności jednostki, konwencjonalnego charakteru wszelkich zasad — a z drugiej strony marzenie o jakichś uniwersalnych prawach, trzymających w ryzach świat poza grą; konflikt pomiędzy spontaniczną ekspresją jednostki, uwalniającej się z wszelkich ograniczeń, a rudymmentami nowej formy, rodzącymi się w działaniu czy twórczości*”. Kategoria gry powróci jeszcze w

wska, po polsku i w jidysz, oraz literatura mniejszości narodowych. W literaturze powojennej potrzebna jest konfrontacja oficjalnego życia literackiego z nieoficjalnym, które wolno i opornie wylania się z korespondencji i pamiętników. W każdym razie kategorie realizmu i prawdy mogą okazać się bardzo przydatne przy próbach ogarnięcia dwudziestowiecznej literatury polskiej poza ustalonymi podziałami.

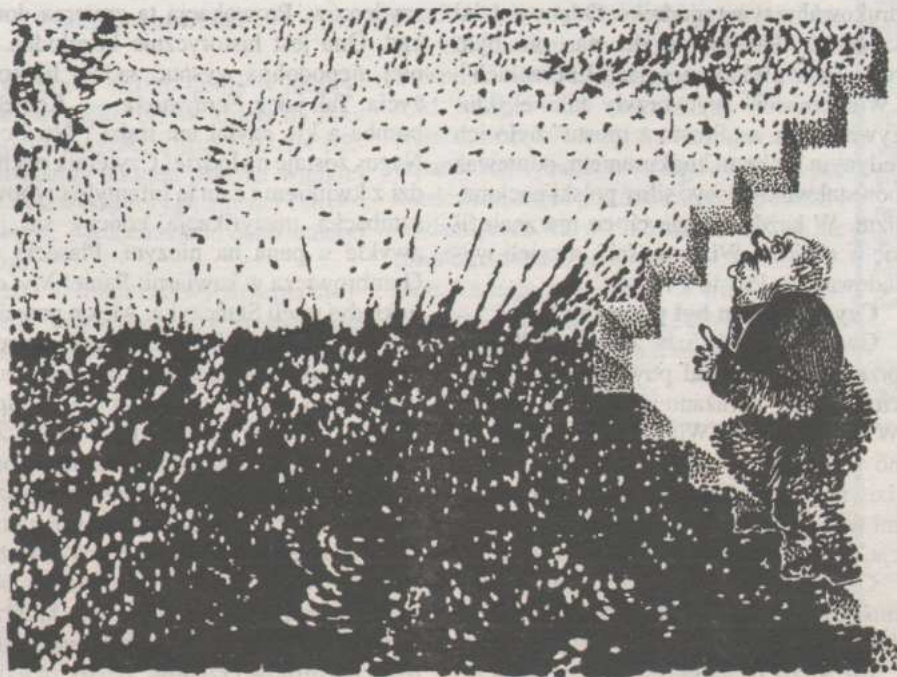
Obrazy-symboli, dziedzictwo moderny, gra oraz napięcia pomiędzy prawdą i realizmem — czy to nie za dużo propozycji jak na jedną książkę? Wypełnienie tych projektów, które autor, ledwo naszkicowawszy, zaraz porzuca, zapewni z pewnością chleb kilku pokoleniom badaczy; siwieć nad nim będą kolejni doktoranci... Warto na koniec zapytać, skąd u Jarzębskiego — poza, oczywiście, pomysłowością, docieklivością, wiedzą i inteligencją — niecierpliwść, która każe mu gonić, wciąż niezadowolonyemu z osiągniętych rezultatów, za chimera pełni zrozumienia? Niecierpliwść ta, jak sądzę, jest symptomem tej samej choroby, która toczy literaturę i literaturoznawstwo. Swoje rozważania o perypetiach realizmu Jarzębski kończy słowami: „*Realizm wymaga tedy nie tyle warsztatowej sprawności, umożliwiającej mówienie obiektywnej prawdy, tylko przede wszystkim — wiary, iż prawda taka da się w ogóle wypowiedzieć. Kryzys realizmu natomiast przychodzi nie wtedy, gdy przedstawiciele odchodzącej formacji przestają „dobrze widzieć”, lecz wtedy, gdy zaczynają „widzieć zbyt wiele”, gdy tracą pewność siebie i przeświadczenie, że istnieje jeden kanoniczny porządek świata*”.

To samo z grubsza można powiedzieć o stanie współczesnych badań literackich. Wiele metodologicznych języków sprawia, że są one porażone niemotą lub rozgwarem, skazane na sceptycyzm, próby cząstkowe, fragmentaryzm. Wolą ostrożnie ferować wyroki, podważać własne zbyt daleko idące uroszczenia. Jarzębski jest, nieufnym, dzieckiem swego czasu, wyrazicielem świadomości generacji, która dosyć się natrzymała na skutki karmienia „jedynie słuszną” prawdą. Także tą o przynależności narodowej. Polska jest dla autora wszędzie tam, gdzie przemiany literackich form zabarwiają się nieuchwytnie doświadczeniem historycznym — indywidualnym i zbiorowym. Ale także tam, gdzie sama idea narodowego samookreślenia poddana zostaje ciągłej weryfikacji, stawiana jest pod pręgierz krytycznego rozumu. Czy jednak „*W Polsce czyli wszędzie*” nie zbliża się tutaj do „*W Polsce czyli nigdzie*”? Nie w tym sensie, jaki nadawał temu pojęciu Alfred Jarry. Chodzi mi mianowicie o to, że specyficznie polska perspektywa, umocowana w genealogii duchowej, a zademonstrowana w suwerennym akcie kreacyjnym — jak u Gombrowicza, który pozostaje dla autora jakby idealnym wzorem — może być jedynie składnikiem uzupełniającym, a nie decydującym o rozumieniu utworu. W końcu do naszej wiedzy o *Ulissiesie* niewiele wnosi wiedza o irlandzkim pochodzeniu jego twórcy, a dzieło Kafki niewiele rozjaśnia znajomość żydowskich korzeni pisarza. Jedno jest pewne, i tu się z Jarzębskim zgadzam: polskość pozostaje nie tyle czymś danym, lecz zadaniem, ciągle odnajdywanym i na nowo gubionym, problemem, a nie dogmatem.

Aleksander Fiut

Jerzy Jarzębski, *W Polsce czyli wszędzie*, Wyd. PEN, Warszawa 1992.

W POLSCE CZYLI ...



Rys. Aleksander Piwnicki

pliwie symbol najbardziej wieloznaczeniowy i pojemny. Czy jednak nie dałoby się odnaleźć we współczesnej literaturze innych „mitów polskich”? Może, obok wesela (u Dąbrowskiej, Nowakowskiego, Andrzejewskiego), czy spadania (u Różewicza, Konwickiego, Mrożka) jest nim, na przykład obłęd? Jak u Krzysztonia, Andrzejewskiego i Konwickiego? Nie przesądzam. Myślę jednak, że ten trop wart jest podjęcia.

Drugi projekt ujęcia przemian historycznoliterackich wpisał Jarzębski w szkic *Między awangardą a modernizmem. Witkacy, Schulz, Gombrowicz*. Wpisał ale nie dbając o jego rozwinięcie. Tymczasem zagadnienie jest ważne i znacznie przekracza ramy pisarstwa wymienionych autorów. Bowiem pogłębiona refleksja nad skutkami kryzysu światopoglądowego moderny, a zwłaszcza wnioskami, jakie płyną — również dla polskiej literatury po drugiej wojnie światowej — z tezy o „śmierci Boga”, mogłaby, jak sądzę, odświeżyć nieoczekiwane powinowactwa u pisarzy tak ważnych, jak choćby Białoszewski, Herbert, Różewicz. Co więcej — byłaby to okazja, by zobaczyć konwulsje naszego piśmiennictwa z szerszej perspektywy, ponad ograniczeniami narodowych opłotków. Jest rzeczą zastanawiającą, że taki projekt, formułowany dawno temu przez Ryszarda Zengla, a za nim

rozważaniach nad realizmem. Tymczasem, jak łatwo spostrzec, byłaby użyteczna — w przytoczonym powyżej rozumieniu — jako narzędzie opisu całej powojennej literatury. Gra o własną pozycję, wybitność, toczona wobec, przeciw i na przekór ograniczeniom cenzuralnym byłaby przedmiotem pasjonującej książki, do której napisania gorąco bym Jarzębskiego namawiał.

Zwłaszcza, że dysponuje on gotowym — to jest czwarty wariant problematyzowania dziejów literatury współczesnej — konspektem książki do napisania. Myślę o studium *Między realizmem a prawdą*. Ten obfitujący w wiele niezwykle celnych i subtelnych obserwacji (np. o prozie obrachunków inteligentkich, socrealizmu i popaździernikowej „odwilży”) szkic, kreśląc drogę od realizmu zadufanego do „realizmu pytań” — pozwala wreszcie zrozumieć, co naprawdę wydarzyło się w powojennej prozie. Brak mi tutaj jedynie szerszego omówienia twórczości Konwickiego i Stalińskiego, dwóch jedyńskich chyba — jakże różnych! — epików PRL-u. Może też warto by rozszerzyć zakres materiału na literaturę emigracyjną? Nie ograniczając się jedynie, jak to zrobił autor, do rekonstrukcji życia literackiego. Choć i na tym polu jest dużo do zrobienia. Nieprzebadane przecież zostają całe obszary dwudziestolecia, np. literatura żydo-



W LEKTURY DZIECIŃSTWA WCZASOWE, DINOZAURY I 'BALLADYNA'

Czytać nauczyłem się na paczce papierosów. Mieszkaliśmy wówczas pod Szczecinem, kiosk był dość daleko od domu, byłem więc przez matkę wysyłany po papierosy, które nosiły nazwę „Wczasowe”: na niebieskim tle przedstawiony był rysunek z wylegającą się na leżaku panią zaciągającą się papierosem. Coś się nie zgadzało, gdyż wyraźnie mówiono do mnie pięcioma literami, a nazwa miała ich sześć. Tak nauczyłem się rozróżniać „cz”, „sz”, a potem już i inne zawłóki alfabetu — i to dość skutecznie: nie wiem czy w całym swoim życiu zrobiłem więcej niż 10 błędów ortograficznych. A to dlatego, że sporo po tych wczasowych czytałem. Czytałem zaś książki, których w ogóle wówczas dzieciom nie należało dawać do ręki, gdyż treści ich były sprośne i nie powinny być w ogóle tolerowane w czasach budowy przodującego stroju. Było tam mianowicie o pomarańczach, daktylach, bananach i innych cudownościach, które — mieszkając przecież niedaleko dużego portu europejskiego — można sobie było jedynie wyobrazić. Autorów tych dzieł nie pamiętam, pamiętam jednak, że bohaterowie pijali lemoniady pomarańczowe, zajadali się ananasami, orzechami kokosowymi, pożerali czekoladki z kremem, a nawet coś co nosiło tajemniczą nazwę „pomadka”. Dla starszych, którzy te cudowności znali sprzed wojny, ich istnienie było oczywistością. Podobnie, jak jest oczywistością dla dzisiejszych dzieci. Ale przecież nie dla nas, którzy dzieciństwo przeżywaliśmy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

Dla nas, „ludzi z Głębokiego” (tak się bowiem nazywała owa podmiejska osada), rzeczywistością był mały, dość podły sklepik przy pętli autobusowej, w którym można było dostać cukier nie raz przemieszany z solą, marmoladę buraczaną (pyszności!) i masło, które okazywało się w maśle obtoczonym kawałkiem brukwi. Tak to wówczas wyglądały afery gospodarcze. Gdzieś w pobliżu trwał jeszcze nie upaństwowiony rzeźnik, u którego można było dostać do kanki smak na zupę. W polskiej prozie te realia ocalały bodaj jedynie w jednej z powieści Grynberga. Gazeta kosztowała groszy 20, pamiętam to zaś dlatego, że wraz z papierosami musiałem kupować i prasę. Z niej niczego nie mogłem wyczytać, gdyż każde zdanie dla nie skażonego wiedzą o komplikacjach współczesnego świata umysłu — było niezrozumiałym bełkotem. Gdy później już jako człek „uczony” czytałem gazety z owej epoki, okazało się, że odporność dziecka we mnie przetrwała i nadal — rozumiejąc słowa — nie rozumiałem zdań. Zараzem sprawnie, jako przedszkolak, chodziłem walczyć z amerykańskim imperializmem. Wyposażony w broń, którą stanowiła wypełniona do połowy osoloną wodą butelka — ach, te piękne kształty wysmukłych litrówek! — wkraczałem wraz z koleżankami i kolegami z przedszkola na pola ziemniaczane i pakowałem do butelki okazy stonki zrzuconej przez wrogów klasy robotniczej i chłopstwa pracującego.

Czasy, jak wiadomo, były siermiężne. O telewizji nikt nie słyszał (pierwszy w zy-

ciu telewizor zobaczyłem u przyjaciela, syna adwokata, w roku 1958). Kino było niebywałem wprost rarytatem. Trzeba było przedsięwziąć wyprawę do miasta, co było przygodą niezbyt przyjemną (tłok w autobusie, a potem w tramwaju powodował, że marzyłem o wyjściu gdziekolwiek, byle tylko złapać oddech w płuca znajdujące się na wysokości brzuchów gniotących mnie ze wszech stron współpasażerów). Atrakcji jednak też nie brakowało: w pobliżu był las wypełniony po brzegi powojennym złodem — taszczyliśmy z niego karabiny, helmy, jakieś pociski, nawet miny talerzowe, przy których to przedmiotach majsterkowaliśmy zawięzcie, wrzucaliśmy je do ogniska i Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego wyszliśmy z tego cała. Niedaleko też znajdowały się koszary sowieckie. Pod które, rzecz jasna, wbrew surowym zakazom rodziców, wędrowaliśmy w poszukiwaniu pogubionych w okolicy pięknych, błyszczących naboń oraz dla oglądania musztry, jakiej poddawani byli ci dziwni ludzie nie umiejący mówić w ludzkim języku. I wreszcie — co chyba najważniejsze — nie brakowało w okolicy wciąż jeszcze pustych domów ponemieckich, wyszabrowanych, lecz przecież nie tak doszczętnie, byśmy w nich nie mogli znaleźć wielu interesujących przedmiotów.

Otoczenie było jak najbardziej literackie. Naprzeciwko mieszkał Woroszyński z rodziną, kilka domów dalej Andrzejewski piszący właśnie wtedy swe wiekopomne dzieło *Partia a twórczość pisarza*. Przy sąsiedniej ulicy rezydował Osmańczyk. Często gościem był mieszkający wówczas w Szczecinie Gałczyński. Przyjeżdżali też znajomi rodziców. Pamiętam porannie zaferowaną Szymborską, która wychylna z lasu z okrzykiem podziwu dla wyłaniającego się szybko spod mchu grzyba. Pamiętam Różewicza zamieszkującego pokój gościnny i obarczanego pilnowaniem dzieci wówczas, gdy rodzice wyjeżdżali na zakupy do miasta gdyż u nas, jak to na wsi — takie specjalty jak ziemniaki czy mleko były nie do dostania. Lecz z tego literackiego otoczenia żadne szczególne zainteresowania literaturą wcale nie wynikały. Dom pełen książek nie stanowił atrakcji. Owszem — wciągały albumy z obrazkami, lecz w nich przeważnie podpisy były niemieckie: trofea decydujących się zagospodarować owe „ziemie odzyskane” pionierów. Ojciec zresztą uratował wówczas od przeznaczenia na podpałkę ponad czterdziestotomowy komplet pism Goethego, nie mówiąc o całej masie innych pożytecznych dzieł. Wydobywane z nich reprodukcje sztichów i obrazów — pamiętam całą serię bajecznie kolorowego Tycjana w tym jednego, gdzie dość obfita pani taszczyła tacę, na której leżały kiście znanych z widzenia winogron — zdobiły ściany.

Naprawdę zacząłem czytać później, po skończeniu pierwszej klasy. I to też z nudów, gdyż ojciec zabrał mnie na jakieś wczasy dla dorosłych w Szklarskiej Porębie. Złamał nogę i tym samym przywiązał do siebie nie pozwalając za często się oddalać. W bibliotece domu wczasowego wygrzebałem książkę o burych okładkach, która od pierwszych zdań przykuła moją uwagę. Była to *Szara wilczyca* Curwooda, pisarza zresztą jak najbardziej amerykańskiego i zapewne wedle ówczesnych kategorii wroga ludu. Oczywiście utożsamiałem się z tym mądrym i odważnym zwierzęciem — tym bardziej — że jeszcze miałem w pamięci zimowy

przyjazd na Głębokie karnego oddziału myśliwych, którzy za każdego ustrzelonego wilka otrzymywali nagrodę. Jedyne musieli przedłożyć wysokiej komisji parę obciętych wilczych uszu. Od tego też czasu zacząłem czytać coraz więcej i bez specjalnego wyboru, choć podejrzewam, że rodzice dyskretnie kierowali moją uwagę na pożądane lektury. Moja biblioteka rozrastała się błyskawicznie, tym bardziej, że książki były niesłychanie tanie. Była np. taka seria „w kropki”, chyba czytelnikowska, której poszczególne tomy kosztowały 2 złote 40 groszy (istniały jeszcze wówczas papierowe dwuzłotówki, chyba szare), i która chyba nie była tak znów bardzo ideologiczna.

Jedną z pierwszych książek, które sam kupiłem, był zeszytek — jego autora, chyba sowieckiego, już nie pamiętam — a który na okładce miał wyrysowanego zanurzonego do połowy w wodzie dinozaura: nazywało się to dzieło: *Co się działo na ziemi miliardy lat temu*. Czytałem to we wszystkich możliwych kierunkach — od początku, od tyłu i na skos. Znałem niemal, na pamięć. I postanowiłem koniecznie zostać badaczem prehistorii, wydobywać spod ziemi kości nieistniejących już potworów oraz kamienne topory pierwotnych ludzi. Oczywiście — gdzieś tam wpisany był jedynie słuszny, zapewne całkowicie ateistyczny światopogląd i dość prymitywny darwinizm; nie to przecież było interesujące, lecz owe wspaniałe pterodaktyle, dinozaury, paleolity, mezozoiiki, nazwy, które uwodziły wyobraźnię, wielkie jak baobaby skrzypy oraz widłaki, także fascynująca „epoka kamienna”. I — przede wszystkim — ta podróż w czasie, owe „miliardy lat”.

Tak rozpocząłem gromadzenie nawet sporej biblioteczki popularnonaukowej. Były tam dziełka różne i często dość skomplikowane — jak na przykład — zupełnie naukowa rozprawka o roli ręki w kształceniu mowy czy przystępne książki o coraz bardziej mnie wówczas wciągających tajemnicach nieba. Astronomem też chciałem być. Świat wydawał się poznawalny, myśl ludzka i zdolności badawcze nieograniczone. Musiałem so-

bie z tym jakoś dawać radę samotnie, w każdym razie nie ma w mych wspomnieniach rozmów o tym wszystkim z rodzicami. Czytałem niejako „na boku”, dobieierałem lektury na własną rękę. Oczywiście, nie mogłem sobie dać rady z takimi pojęciami jak nieskończoność. Wgapiłem się w wygwieżdżone niebo — po drodze, bodaj w 1954 czy 1955, zdarzyło się zaćmienie słońca, które obserwowałem przez usmolony w sadzy kawałek szkła. Z tego wszystkiego wymyśliłem wtedy następującą sytuację: jeśli jest prawda, że gdzieś tam we wszechświecie istnieją takie same systemy słoneczne jak nasz, to może się przecież zdarzyć, że jeden z nich będzie dokładnie taki sam, we wszystkich szczegółach, ze mną włącznie — co by to było, gdyby jakaś moc mogła „przerzucić” mnie tam, a jednocześnie tamtego mnie tu, dokładnie w tym samym momencie; przecież nie można by się dowiedzieć, że taka zamiana rzeczywiście nastąpiła.

To były te moje najukochańsze pierwsze lektury. Tytułów już, rzecz jasna, nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam natomiast pierwszy utwór wielkiej polskiej literatury, który przeczytałem samodzielnie. Bywało, że szperałem po półkach biblioteki rodziców, z rzadka jednak coś mnie zainteresowało. Pewnego jednak dnia, a miałem wówczas chyba 9 lat, wyciągnąłem z półki niebiesko oprawny tom dzieł zebranych Słowackiego. Była noc czy późny wieczór, rodzice gdzieś wyszli, siostra spała, a ja zapadłem w *Balladynę*. Im głębiej wchodziłem w lekturę, tym bardziej narastał strach i tym bardziej nie mogłem przerwać. Skończyłem, i z tego przerażenia zacząłem czytać od nowa, przedtem jednak pozapalałem wszystkie możliwe światła. Bałem się każdego szmeru i każdego cienia. Klęcząc przed tapczanem, (był to mój ulubiony sposób czytania) na którym leżała książka w końcu zasnąłem. Gdy się obudziłem, zacząłem czytać tzw. literaturę piękną. I coraz rzadziej na kolanach.

Leszek Szaruga

WOJCIECH SZUMOWSKI

Zawsze na miejscu stosownie nieuważny, by nie być oskarżony o przeniesienie uczuć. Zmęczony, wysiłkiem wyrażania wiary w siebie pozwalałem rzeczom dziać się jak chcą. Wyposażony w porządnie podniszczone pełne zrozumienia przywiązanie utrwalam podręczny wzór człowieka zapomnianego. Behawioryści utrzymują, że niezależnie od przyczyn dany zachowań pewne zachowania mogą same stanowić problem.

Istnieje pewien rodzaj pomyłki w niedzielne popołudnie po długich przystankach z wypchaną pamięcią w spokoju narzuconym nawykiem wykazują zaufanie

wśród herbatników coraz to jakieś przemilczenia symetryczne i chłodne jak szkła okularów które noszę kiedy chcę być absolutnie pewny siebie.

Którzy nie mamy odpowiedzi i nie ma nikogo kto by nas wysłuchał możemy tylko patrzeć Jeżeli w delikatnej sytuacji samotni odchodzą ze wstydem mamy czas jedynie na chłodną ciekawość Nie porusza nas hardość ani skrucha udajemy że jesteśmy zajęci rozmawiamy o chorobach i okazjnych zakupach Niepewni co mamy o sobie myśleć klamiemy instynktownie przez niedomówienie Chcemy by zostawiono w spokoju czas, przestrzeń i nasze złudzenia Jesteśmy tylko przechodniami nie doznajemy potrzeby wyrażania.

Sir Thomas Wyatt (1503-1542)

CHCE KTO POLOWAĆ — WIEM, GDZIE ZNALEŻĆ ŁANIĘ

Chce kto polować — wiem, gdzie znaleźć łanię:
Dla mnie, niestetyż, za późno na łowy;
Tak-ci mię znużył ów pościg jałowy,
Że ledwie słyszę w dali rogów granie.
A przecie, mimo całe me zniekanie,
Tropem zwierzyny dążę przez dąbrowy,
Niczym nie trzeźwiąc rozpalonej głowy,
Gdy w sieci jeno wiatr mi się dostanie.
Chce kto ją łowić — niech łowi, lecz szczerzej
Zazna udreki: to jedno mu powiem.
Na smukłej szyi obrózkę albowiem
Ujrzy, a na niej z diamentów litery:
„*Noli me tangere*, niech nikt nie stoi
O mnie, gdyż Cezar jeno mię oswoi”.

Sir Philip Sidney (1554-1586)

KOCHAJĄC, CHCIAŁEM MIŁOŚĆ WYZNAĆ W WIĄZANEJ MOWIE

Kochając, chciałem miłość wyznać w wiązanej mowie:
Niech lubą choć ubawi, żem ujął w rym cierpienie;
Ubawiona — przeczyta; czytając — niech się dowie;
Wiedząc — okaże litość; a litość w łaskę zmienię —
Takem się łudził. Przeto słów dobierałem mrowie
Co czarniejszych, by mękę grały na wiersza scenie;
Stos cudzych ksiąg zgłębiałem, by spalone pustkowie
Mego mózgu zrosiło pożyczone natchnienie.
Lecz słów wciąż brakowało, Inwencja — ta Natury
Córka — wciąż umykała, widząc, że jej macocha,
Sztuczność, rządzi mą duszą; a cudzych dzieł lektury
Przeszkadzały miast pomóc: każdy inaczej kocha.
Tak siedząc, pióro gryząc, nagle głos Muzy słyszę:
„Głupcze! Kto kocha, patrzy w serce własne — i pisze”.

William Shakespeare (1564-1616)

GDY PRZED TRYBUNAŁ MYŚLI NA ROZPRAWĘ CZUŁĄ (Sonet 30)

Gdy przed trybunał myśli na rozprawę czułą
Wzywam świadków obrony — przeszłych dni wspomnienia —
Wzdycham, widząc, jak wiele w pustkę się rozsnuło:
Prócz dawnych strat — to jeszcze, co Czas w nicłość zmienia.
W takich chwilach znów oko nurza się w łez toni
Z bólu po tych, co znikli w wiecznym śmiertci mroku,
Z miłosnej męki — choć już niby dawno po niej —
I z żalu po niejednym przepadłym widoku.
Skarżę się na cierpienia wcześniej wycierpiane
I ponownie przebiegam wzrokiem swój zawył
Rachunek trosk — spleacony, wiem, lecz nie przestane
Spłacać go, choćby oczy bez końca łzawiły.
Lecz skoro tylko w myślach twoją twarz zobaczę —
Wszystkie straty zwracają się, cichną rozpacze.

SZEŚĆ SEYNNYCH SONETÓW ANGIELSKICH w tłumaczeniach Stanisława Barańczaka

John Milton (1608-1674)

NA WIEŚĆ O RZEZI W PIEDMONCIE

Pomścij, Panie, Twych świętych, których krew rumieni
Śnieg skalistego zbocza w Alp porannym chłodzie;
Tych, co myli już twarze w Twojej Prawdy wodzie,
Gdy nasi ojce czcili bałwany z kamieni —
Nie zapomnij; w Twej księdze niechaj uwiecznieni
Zostaną, owce w wiernej Tobie z dawna trzodzie,
Ofiary Piedmontczyka, gdy w krwawym pochodzie
Strącał matki i dzieci w przepaść, aż w przestrzeni
Dolin echo ich jęków, odbite przez góry,
Rosło pod Niebo. Rozsiej na italskiej roli
Popioły męczenników, w kraju, gdzie ponury
Potrójny tyran władał; łaska Twa pozwoli,
By z zasiewu wzrósł zastęp stokroć większy, który
Naucz, jak babilońskiej wymknąć się niedoli.

William Wordsworth (1770-1850)

UŁOŻONE NA MOŚCIE WESTMINSTERSKIM 3 WRZEŚNIA 1802

Niczego piękniejszego nie wchłonie źrenica
Na tej ziemi. Ktoś, czyje zmysły toną w mroku —
Tylko on nie przystanie, nie napoi wzroku
Tym majestatem, który wzrusza i zachwyca.
Poranek każdy szczegół urokiem nasyci:
Gmachy, statki, świątynie, kopuły, w obłoku
Skryste wieże — rozległe odsłonią oku,
Lśniące w czystym powietrzu, wielka tajemnica!
Nigdy dotąd doliny, wzgórze ani skały
Nie złociła słoneczna świetność aż tak żywa;
Nigdy w serce nie zapadł mi pokój tak stały!
Rzeka płynie przed siebie, swobodna, szczęśliwa;
Boże! mnogość tych domów, cichych jakby spały,
Moc tego serca, które w bezruchu spoczywa!

Z antologii *Od Chaucera do Larkina: 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci*

w wyborze, przekładzie i opracowaniu Stanisława Barańczaka
przygotowywanej przez Wydawnictwo ZNAK

KSIAŻKI

Epoka kłamstwa

JAN WALC
WIELKA CHOROBA

Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne
Warszawa 1992.

Jan Walc należy do tych nielicznych krytyków literackich (badaczy literatury), którzy nigdy nie ulegają utartym sądom i wbrew obowiązującym ustaleniom forsują własny, często obrazoburczy i zjednujący przeciwników, punkt widzenia. Jeszcze nie ucichł spór wokół jego kontrowersyjnej, szalenie odważnej książki o Mickiewiczu *Architekt arki*, a już w księgarniach pojawił się nowy jego bestseller: *Wielka choroba*. To bezkompromisowy rozrachunek z powojenną literaturą polską, obnażenie duszy peerelowskiej inteligencji, uwikłanej w kompromisy ze stalinizmem. Przenikliwość Walca polega na uchwyceniu w postawach wielu czołowych (nie piszących wybitnych, bo ich wybitność krytyk kwestionuje) pisarzy wspólnej, niewymazywalnej skazy: grzechu samouwielbienia. Wytyka im kompromitację dobra, pozerstwo, wywyższanie kłamstwa i zachwianie tradycyjnego systemu wartości — takiego, które mu wierne było pokolenie Żeromskiego.

Żeromski zresztą pełni w książce osobliwą rolę — najbardziej odpowiedzialnego polskiego pisarza, który bardzo szybko dostrzegł zagrożenie, tkwiące w postawie inteligenta przekonanego o swojej wiedzy i kompetencji, walczącego o nowy, wspólny świat. Nic dziwnego, że szkice o *Ludziach bezdomnych* i *Uciekła mi przepióreczka* stanowią kłamrę całej książki, poświęconej literaturze po 1945 roku. Walc rozprawia się z klasyczną, wymyśloną przez komunistyczną propagandę, interpretacją Judyma jako uduchowionego altruisty. Zgodnie z pisarską intencją przedstawia go jako człowieka nieodpowiedzialnego, myślącego o innych jako o motłochu, z nikim nie szukającego kontaktu, myślącego wyłącznie o burzeniu nienawistnego świata. Postawa burzenia stanie się dla Walca symbolem pogwałcenia przez „nowych” pisarzy roli kultury rozumianej jako samoobrona społeczna. Jeśli *Ludzie bezdomni* są powieścią o „przekraczaniu ludzkiej miary, które jest wykorzystaniem i prowadzi na zwalisko”, to histo-

ria powojennej literatury, w najbardziej jej jaskrawym wydaniu, jest dla Walca tym samym: stacaniem się na pozycje niwelatorskie.

Krytyk idąc śladem *Hańby domowej* szuka przyczyn nie tyle zauroczenia, ile zaaprobowania, często nie bez różnych wątpliwości, komunistycznego porządku przez intelektualistów, którzy przed wojną szermowali hasłami wolności. Ale dostaje się także emigrantom. Jeśli „nie można było” — pisze Walc — „odgonić polskiej inteligencji od komunizmu nawet batem, czy mówiąc ściślej, knutem”, to polscy intelektualiści przebywający na emigracji „nie stworzyli de facto liczącej się przeciwwagi dla krajowej, ocenzonej kultury” (nikt poza Herlingiem-Grudzińskim nie dał wiarygodnego artystycznie świadectwa o łagrach, a ci spośród szukających własnej drogi, jak Gombrowicz, Straszewicz czy Bobkowski, zostali przez środowisko emigracyjne odrzućeni). Na przykładzie kilku wybranych pisarzy, należących jeszcze nie tak dawno do podstawowego kanonu współczesnej literatury — w jej „szkolnym” wymiarze — Walc analizuje syndrom wielkiej choroby, w pewnym sensie kontynuując, a nawet rozszerzając wątki *Zniewolonego umysłu*.

Wychodząc od wczesnej powieści *Hilary, syn buchaltera*, który jest dlań autobiograficznym zapisem świadomości pisarza po 1918 roku, ukazuje Iwaszkiewicza jako karierowicza, który dla osiągnięcia wymarzonej pozycji starannie planuje swoje życie, układając się najpierw z sanacyjną, później komunistyczną władzą. Polemizując z monografią Ryszarda Przybylskiego Walc twierdzi, że Iwaszkiewiczowi obca była myśl o człowieku jako twórcy i zawsze eksponował daremność ludzkiego trudu. Miłość na kartach książek tego pisarza jest zawsze złem i w gruncie rzeczy jest niemożliwa. Podobnie jak Hilary Iwaszkiewicz to „doskonale wrażliwy barbarzyńca”, który czyni zło kompromitując miłość i artystę (radziecka monografia o pisarzu ukazuje bohatera

Wzlotu — napisanego „przeciw” Camusowi — donosiela przecież i mordercę jako usobienie *Humanitas*).

Galczyńskiego z kolei propaganda komunistyczna uczyniła poetą dla mas, starannie tuszując jego jawne faszystowskie teksty z *Prosto z mostu* (pisał: „trzeba rozwijać polski faszizm w trosce o nasze dzieci”). Walc przekonująco pisze o odrzuceniu przez niego po wojnie etosu polskiego intelektualisty, co widać paradoksalnie w *Zielonej Gęsi*, największym „sukcesie komunistycznej propagandy”. Sztuka dla Galczyńskiego była wyłącznie na sprzedaż. Tworząc na zamówienie partyjnych mocodawców wykreował odstręczający teatrzyk kukielkowy, w którym zbankrutowały wszystkie idee poza rajem stalinowskim. Według Walca całe „cygaństwo” Galczyńskiego zostało wystudiowane do najdrobniejszych szczegółów, łącznie z legendarnym już alkoholizmem (raczej chciał uchodzić za alkoholika niż był nim naprawdę) mitem prześladowanego przez reżim artysty (powierzono mu w istocie ideologiczne zadanie „maskowania klatki”).

Odstępczą postacią jest również Borowski, którego los należy potraktować jako przestrożę. Cała jego twórczość świadczy o utożsamieniu pojęć niewoli i wolności oraz pogardzie dla człowieka: „Miał Maeterlinck więcej serca dla mrówek niż Borowski dla ludzi, którzy (...) wywołują obrzydzenie mistrza Tadeusza”.

Wysługując się komunistom stał się najzacieklejszym, wręcz zaślepionym inkwizytorem, dla którego cała zachodnia kultura była przejawem odrażającej „sztuki burżuazyjnej” i zakamufłowanego faszyzmu. W końcu odmówił zgody „na jawę”, bo nie chciał znaleźć w tym świecie ani krzty miłości, bo w świecie panowało — według niego — tylko zło, które należało zmiażdżyć „ręką milionopalcą Partii”.

Z kolei Bratny, przedstawiciel tego samego pokolenia, reprezentuje filozofię Judasza: nie zachłystał się komunizmem i nie przeżył, jak tamci zmiany poglądów, ale przyznał sam sobie prawo do zdrady. „Zdradziwszy Armię Krajową, został Bratny stalinowcem, ale nie wierzył w stalinizm”. Jest to pisarz, który porozumie się z każdą rzeczywistością. Dla tego pisarza największym zagrożeniem jest historia, a kłamstwo wygrywa z milczeniem. Stąd pogarda dla świata i dla siebie samego. Domagając się podziwu kokietuje wyborem „mniejszego zła”. Walc ironizuje: „Jest pustynia moralna i na niej samotny, nieszczęśliwy człowiek — Roman Bratny”, którego *Rok w trumnie* bije wszelkie

rekordy „prymitywizmu, ślepoty i kłamstwa”.

Wstrząsającym świadectwem epoki kłamstwa są dla Walca *Dzienniki* Dąbrowskiej. Będąca dla wielu autorytetem moralnym pisarka jest dla niego przykładem makiawelistycznej kolaborantki, która za cenę kłamstwa lub milczenia (przywzwoleń na zło) pragnie uchronić „wyższe wartości”. Podobnie surowy jest Walc w stosunku do Mrożka jako autora *Portretu*. Ma mu za złe, że zabrakło mu odwagi i dystansu i temat stalinizmu potraktował fałszywie. Dlaczego? Walc przygotował odpowiedź: bo *Portret* jest sztuką o samym Mrożku — o tym, który w latach 50-tych w swoich satyrach przeciw romantycznej tradycji sankcjonował stalinowską nową wiarę. Mając osobisty problem ze Stalinem, Mrozek udziela fałszywych odpowiedzi. Także dlatego, że przy pomocy szyderstw nie rozwiąże się już dzisiaj żadnego problemu.

Swoje porachunki z krytyką Walc załatwia „w rękawiczkach”. Przeciwwstawia łatwym, obowiązującym interpretacjom własne. Tak się dzieje z Broniewskim i jego *Synem podbitego narodu* (lewicowość poety jest dla krytyka wallenrodyczna) oraz z Tyrmandem i jego *Złym* (nie jest to *Trędowata* lat 50-tych, ale powieść obnażająca w finezyjnie literacki sposób fałsz tego wszystkiego, co pragnęło uchodzić za literaturę współczesną od Brandysa do Iwaszkiewicza). *Wielka choroba* przynosi także dwa pozytywne portrety pisarskie. *Mała apokalipsa* Konwickiego, ta najważniejsza dla Walca książka po wojnie, pozwoliła odzyskać poczucie własnego tragizmu, zaś *Boski Juliusz* Bocheńskiego jest świadectwem powrotu do świata tradycyjnych wartości i dowodem, że niezdolność naszej kultury do pokonania zła była tylko chwilowa.

Wielka choroba jest więc tęsknotą za trwałą podstawą naszej kultury, wyzwaniem rzuconym kłamstwu i mimikrze, filozofii Judasza i sztuce na zamówienie. Walc nie ma za złe pisarzom pokretnych życiorysów, gani ich za łatwe uleganie destrukcyjnym ideologiom, za małostkowość i przekonanie o własnej wyjątkowości. Pisząc swoją wersję *Hańby domowej* dał wyraz przekonaniu, że „trzeba iść drogą Stefana Żeromskiego, bo takie są obyczaje polskiej inteligencji”.

styczeń, 1993

Julian Kornhauser

■ K S I A Ż K I N A D E S Ł A N E ■

JAMES JOYCE: *PORTRET ARTYSTY Z CZASÓW MŁODOŚCI*, przeł. Zygmunt Allan, Pomorze, Bydgoszcz 1992.

Zbiór opowiadań autora *Uliksesa*.

ALLEN GINSBERG: *KADYSZ I INNE WIER-SZE 1958-1960*, przekład i posłowie Grzegorz Musiał, Pomorze, Bydgoszcz 1992.

Dwujęzyczny wybór najbardziej cenionych utworów poetyckich jednego z czołowych przedstawicieli nurtu *beat generation*.

ANNA POTOCZEK: *PORA DESZCZOWA W MIEŚCIE HUE*, Wydawnictwo „Stapis”, Katowice 1992.

„Dojrzały debiut prozatorski znanej wcześniej z publikacji prasowych Anny Potoczki, lekarza z wykształcenia. Niezwykła powieść psychologiczna o miłości i zagubionych we współczesnym świecie wartościach”.

HERMAN LIPNER: *GAJU AKADEMOSA CIĄG DALSZY*, 1992.

Drugi udany tomik krakowskiego poety, uprawiającego poezję refleksyjną, filozoficzną.

PIOTR CIELESZ: *Z KSIĘGI WSCHODNIEJ*, Bydgoszcz 1992.

Piąty interesujący zbiór wierszy znanego poety i publicysty z Bydgoszczy.

KRZYSZTOF ĆWIKLIŃSKI: *KRÓLEWIEC I INNE WIER-SZE*, Bydgoszcz 1992.

Piąty tom wierszy poety, eseisty i krytyka

związanego ze środowiskiem toruńskim, edytora pism Tadeusza Sułkowskiego i Andrzeja Bobkowskiego.

KRZYSZTOF SOLIŃSKI: *ALBO (FRAGMENTY FRAGMENTÓW)*, Bydgoszcz 1992.

Zbiór eksperymentalnej prozy.

JADWIGA TYRANKIEWICZ: *ŚLADY*, Bydgoszcz 1992.

Nowy zbiór wierszy bydgoskiej poetki, autorki kilku książek.

ANDRZEJ STASIUK: *MURY HEBRONU*, Wydawnictwo Głodnych Duchów, Warszawa 1992.

Znakomita, przejmująca „proza więzienna”.

MIŁOSZ BIELA: *Z BRZUCHA EUROPY*, Kraków 1992.

Zbiór interesujących wierszy poety-kapłana.

DARIUSZ SUSKA: *RZECZY KTÓRE BYŁY ŚWIATEM*, Agencja Wydawnicza ZEBRA, Kraków 1992.

Debiut poetycki studenta fizyki.

ROBERT NYE: *FAUST*, Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1992.

Wielu Czytelników z pewnością ucieszy fakt, że wkrótce po edycji *Falstaffa* na polskim rynku wydawniczym pojawia się kolejna książka znakomitego angielskiego prozaika — w przekładzie Piotra Siemiona.

Notatnik dyletanta

Człowiek żyje z duchem epoki. Kiedy w liceum zetknąłem się po raz pierwszy z operą, ocenilem ją podobnie, jak moi rówieśnicy. Ów gatunek sztuki wydawał mi się nieznośnie staroświecki, pompacyjny i nudny. Dlatego też nie zaskoczyła mnie wtedy opinia z prasy zagranicznej, iż „domy operowe należałoby wysadzić w powietrze”. W latach siedemdziesiątych, kiedy panowała jeszcze dyktatura awangardy, na porządku dziennym były podobne zachowania i reakcje, przejęte od dadaistów. Dzisiaj, w ostatniej dekadzie naszego stulecia odczuwamy niespodziewany renesans opery właśnie. Czym to tłumaczyć, że opera zepchnięta niedawno do lamusa określa w jakimś sensie styl epoki? Po wyczerpaniu się języka awangardy nadszedł czas na eklektyzm, swobodę zapożyczeń, cytatów, łączenia różnych stylów i sztuk. Opera należy do najbardziej eklektycznych ze sztuk, jest swoiście „barokową” syntezą teatru, gry scenicznej, śpiewu, baletu, plastyki. Bożyszczą operowicy, jak Placido Domingo, stają się nie mniej sławni od bulwersujących gwiazd muzyki pop w stylu Madonny.

Pod koniec listopada widziałem w Filharmonii Krakowskiej operę Claude'a Debussy'ego *Pelleas i Melisanda*. Był to spektakl niemal doskonały, świetnie zaaranżowany i zagrany, utrzymujący widzów przez prawie 3 godziny w ciągłym napięciu. Reżyser postarał się, aby średniowieczno-baśniowy wątek tragicznej miłości Pelleasa i Melisandy nabrał współczesnego wyrazu. Francuscy śpiewacy przypominali jednych z nas, ubrani w zwykłe stroje, zachowywali się bez cienia pretensjonalności. Przy ascezie scenicznej formy i rezygnacji z tradycyjnej scenografii, wydobyta została czysta gra uczuć i namiętności. Spektakl, który sprowadził do Krakowa naładowany śmiały dyrektor Instytutu Francuskiego, Laurent Deveze, pokazuje jedną z ożywczych dróg współczesnej opery. Niecodzienny był aplauz po krakowskiej inscenizacji opery Debussy'ego. Najgłośniejsi byli młodzi fani opery, którzy swój entuzjazm wyrażali tupaniem i krzykiem.

Kiedy miesiąc później znalazłem się w wiedeńskiej Staatsoper nie byłem już zaskoczony liczną obecnością wiatującej młodzieży. Z tym, że w Wiedniu operowymi fanami robiącymi najwięcej zamieszania są dzieci. Oglądając operę Mozarta *Czarodziejski flet* zastanawiałem się, czy aby ta klasycznie masońska sztuka nie poprzewraca w głowie dzieciakom? Jednymi z głównych bohaterów opery są bowiem trzej chłopcy, wysłannicy wyższych mocy, którzy lepiej sobie radzą na scenie od masońskiego arcykapłana Sarastro i jego świąty.

Mój przyjaciel z Rzymu lubi robić niespodzianki. Ostatnio niemal równocześnie przesłał mi swoją książkę oraz czekoladki o smaku rumu, pisatki i marcepanów. Zachęcająca propozycja, by lekturę jego rozprawy o Maxie Stirnerze osłodzić sobie wyszukany specjalami.

Enrico Ferri przed rozpoczęciem kariery naukowej był lewicującym dziennikarzem. Znudziło go jednak — jak mi się zwierzał — uprawianie „politycznej fikcji na zamówienie”. Niemniej pozostały mu zdobyte wcześniej umiejętności: wartość pióra i zdolność lansowania swoich idei. U nas co zdolniejsi dziennikarze i publicyści trafiają zazwyczaj do polityki i dyplomacji, a z drugiej strony środowiska uniwersyteckie niezbyt chętnie przyjmują „rozwichrzone” charaktery. Enrico w międzyczasie oddalił się od lewicy, przechodząc typową dla generacji 68' ewolucję. Swoje inklinacje do anarchizmu wykorzystał jednak jako impuls do pracy naukowej.

W książce *L'antigiuridismo di Max Stirner* rzuca nowe światło na mało znanego w Polsce ucznia Hegla, plasując go w połowie drogi pomiędzy tradycyjnym anarchizmem i nowoczesnym liberalizmem. Imponująca jest dołączona dokumentacja prasowa: 16 obszernych omówień recenzyjnych, w tym w ważnych dziennikach („Il Sabato”, „Il Popolo”). Chyba nie wszystkich recenzentów Enrico przekupił czekoladkami... Zachęta i inspiracja autora jest istotna, ale zapewne nie ona zadecydowała o sukcesie książki. Po prostu recepcja dobrej książki naukowej we Włoszech jest inna niż u nas.

Zbig.

Poza kamieniem z Rosetty, marmurami Partenonu i oryginałem Magna Charta Libertatum British Museum chowa w zanadru tysiące niespodzianek, którymi zawsze potrafi zaskoczyć nieprzygotowanego przybysza. Ostatnio pokazano tu wystawę karykatury europejskiej z XVIII i XIX wieku, z krajów Europy północno-zachodniej, głównie z Anglii, Francji i Holandii. Wystawa obejmuje również Turcję, Rosję jako kraje wciągnięte w orbitę angielskiej polityki tego burzliwego okresu. Karykatura jest uwarunkowana politycznie i obyczajowo, dlatego nie mogła swobodnie się rozwinąć w krajach despotycznych, jak Hiszpania czy Rosja. Swoboda wykpiwania śmieszności i słabostek tak ludzi jak instytucji wy-

W Anglii natomiast był to okres monarchii hanowerskiej, panujących czterech Jerzych i zjednoczenia narodów brytyjskich pod egidą Anglii. Ogólnie biorąc jest to również wiek przemian obyczajowych, kostiumowych oraz wiek początkującego nacjonalizmu, który posługuje się karykaturą jako orężem wyszydzania jednych narodów przez drugie. W tym czasie Anglia utraciła kolonie amerykańskie i zaczęła się pchać na Bliski i Daleki Wschód.

Karykatury były rysowane przez artystów na dużych arkuszach i wytrawiane na płytach miedzianych przez zawodowych rytowników. Czasem artysta sam nadzorował wytrawianie, a czasem współpracował z rytownikiem. Czarno-białe szyty podlegały ręcznemu podkolorowaniu przez

braków i złodziei. Była to zemsta osobista, bo Hogartha aresztowali Francuzi w Calais pod zarzutem szpiegostwa. Nie cierpiał więc Francuzów i w protestanckiej gorliwości gardził też katolicyzmem. Anglicy wyśmiewają się także z Niemców wcinających przy stole kwaśną kapustę. Hiszpanie ukazani są zawsze jako zawszone brudasy. Anonimowy szyty pt. „Hiszpańska toaleta” ukazuje stojącą w rzędzie rodzinę: ojciec iska matkę, która iska syna, który iska córkę, a ta z kolei iska pieśka. Hiszpanów przedstawia się również jako pyszałków i łgarzy otoczonych zakapturzonymi mnichami. Anglicy nie mogli im zapomnieć bladego strachu, jaki Wielka Armada wywołała przed dwustu laty, i z trudem godzili się z Hiszpanami jako aliantami w wojnie z Napoleonem. Rosjan oglądamy jako dzikusów polujących konno na kobiety w okupowanym Paryżu po klęsce Napoleona. Wcześniejsza karykatura ukazuje Suworowa podrzucającego Katarzynę II głowy Polaków zabitych w Insurekcji Kościuszkowskiej. Cesarzowa przyjmuje trofea mówiąc: „czyż nie mogliście namówić Polek, aby otruli mężów?” Oczywiście to aluzja do otrucia przez imperatorkę własnego męża.

Hiszpański król Ferdynand VII przywrócony na tron po wojnach napoleońskich przedstawiony jest jako tyran w sali tortur w otoczeniu diabła i mnicha, ponieważ po wstąpieniu na tron zawarł konstytucję i wznosił inkwizycję uprzednio rozwiązaną przez Napoleona. Był to już wiek XIX — i leciwy Francisco Goya wzięty na spytki przez inkwizycję za namalowanie nagiej Maji (właściwie należałoby powiedzieć Mały) musiał szukać schronienia we Francji przed duchownymi stróżami obyczajności. Hiszpanom tak się ta karykatura spodobała, że prosili artystę Cruikshanka, aby wyprodukował wersję z hiszpańskim komentarzem dla kolportażu w kraju.

Paryż pod okupacją jest pełen żołądactwa rosyjskiego i pruskiego, które ulega umizgom ulicznic wyłudających od nich pieniądze. To już karykatura francuska, która kpi z Anglików, wychudłych milordów, chorych na spleen, już to opasłych i nalanych Johnów Bull'ów łasych na jeźdzenie, ale nie zainteresowanych kobietami. Anglicy ukazani są jako rogacze, którzy na zdradę małżeńską reagują skargą sądową — a nie pojedynkiem.

Anglicy również potrafią bezlitośnie śmiać się z siebie, cnota to niezmiernie rzadka w naszych stronach Europy. Wyśmiewają się z hanowerskich monarchów, grubych, rozpustnych i ubierających się po niemiecku. Wyśmiewają się z Walijczyków zażerających się porami, ze Szkotów w spódnicach, którym panie zaglądają pod sukienki; ze Szkotów nie umiejących się posłużyć higienicznym klozetem angielskim, symbolem anglosaskiej cywilizacji. (Szkoci według złośliwego artysty nogami wlażą w muszle, ale załatwiają się na desce.)

Anglicy śmieją się z monarchii, z kościoła anglikańskiego, z własnego nieuctwa i z biedy w swej zamożnej ojczyźnie.

Jak widać karykatura operuje stereotypem, a stereotyp to apoteoza „typowości” jako ideału społecznego realizmu. Mam wśród moich rupieci egzemplarz „Przeglądu Artystycznego” z okresu forsowania realizmu w Polsce. Ktoś tam cytuje Malenkowa tłumaczącego malarzom sowieckim, że piękno sprowadza się do zagadnienia „typowości”. Na pytanie, kto określa „typowość” Malenkow odpowiada: partia! Karykaturzyści początków XIX stulecia też szukali typowości, ale była to typowość arbitralna, typowość niezgodna z narzuconym stereotypem oficjalnej prawdy głoszonej przez despotyczne rządy, kościoły i policjantów. Na czym polega komizm tych karykatur, świetnie rysowanych, dosadnych i prostackich? Na prze-

LIST Z ANGLII POCHWAŁA



KARYKATURY

maga nie tylko nieskrępowanej myśli, ale także sporej dozy wulgarnego humoru, sprośności i odwagi szargania świętości — w skutek czego karykatura często bywa oskarżana o brak smaku. A smak, jak wiadomo, podlega zmiennym kryteriom kaprysu estetycznego często więc wchodzi w kolizję z władzą świecką i duchowną. Aristokracja, kler i wojsko nigdy nie służywały się karykaturą, chłopstwo było zbyt bierno, toteż jedyną warstwą społeczną wypowiadającą się w satyrze i karykaturze było mieszczaństwo.

Tak Anglia, jak Francja przodowały pod koniec XVIII wieku pod względem ilości i jakości wydawnictw karykatury, znajdujących się w rękach księgarzy, drukarzy i artystów z nimi współpracujących. Konkurencja była duża, a artystami karykatury byli niejednokrotnie wybitni malarze i graficy jak Hogarth i Rowlandson, a we Francji Raffet, Gavarni a później Daumier. Istotą karykatury jest wyrazisty rysunek i emfaticzna deformacja. Ale najważniejszą rolę odgrywa idea, sam pomysł, który jest jej uzasadnieniem. We Francji okres, o którym mowa, to okres Oświecenia i fermentu politycznego, okres Rewolucji dyktatoratu, cesarstwa i restauracji Bourbonów, a więc czasy radykalnych przemian społecznych, ustrojowych, jak również czasy wojen, rzezi i powstań.

czeladników oficyny. Z początkiem XIX wieku rozpowszechniła się litografia, to jest rysunek wytrawiany w kamieniu, która to metoda pozwalała na urozmaicenie w postaci różnych technik kredkowych, piórkowych a nawet akwarelowych. Z płyty miedzianej można było uzyskać niewielką ilość odbitek, na skutek czego akwaforty były kosztowne, a tym, którzy nie mogli sobie na ich zakup pozwolić, księgarze wypożyczali poszczególne egzemplarze za opłatą.

Na ogół karykatury mówiły same za siebie, bo były jasne i zrozumiałe; od tego zależało ich powodzenie. Im lepsza karykatura, tym mniej wymagała komentarzy. Z biegiem czasu jednak tu i ówdzie pojawiają się baloniki z tekstem (niewątpliwie wcześniej zapowiedź przyszłych komiksów) co w dzisiejszej prasie staje się niebezpieczną plagą pozwalającą na obywatelstwo bez rysunku, lub usprawiedliwiają marny rysunek

British Museum posiada ogromną kolekcję karykatur, których na wystawie jest przeszło 400. Zaczyna się od Hogartha: sławnej Bramy miasta Calais w rękach Francuzów, których Hogarth nienawidził. Anglia niedawno przedtem utraciła Calais na rzecz Francji. Hogarth ukazuje obdarzonych, wygłodniałych żołnierzy oraz opasłego zakonnik obmacującego baraninę na półmisku. Z dala widać procesję z relikwiami i figurami świętych w orszaku że-

Księgarnia „Reprint”, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71

CZYTELNICZY SZUKAJĄ KSIĄŻKI:

FRANZ KAFKA: *Wyrok*. Przełożył Juliusz Kydryński, Wydawnictwo Kwiaty Na Tor 1992, cena 29.000 zł. Mało znane opowiadania wybitnego pisarza.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI: *Rytuał i demagogia. Trzytności szkiców o sztuce zdegradowanej*. Open 1992, cena 30.000 zł. Studium historyka i teoretyka literatury o sztuce socrealizmu — totalitarnej i wulgarnie masowej.

JAN KOTT: *Pleć Rozalindy. Interpretacje. Marlowe, Szekspir, Webster, Buchner, Gautier*. Wydawnictwo Literackie 1992, cena 40.000 zł.

GEORGES BATAILLE: *Historia erotyzmu*, Oficyna Literacka 1992, cena 35.000 zł. Szkice o erotyzmie w filozofii i literaturze światowej.

JOSÉ ORTEGA Y GASSET: *Po co wracamy do filozofii*, Spacja 1992, cena 42.000 zł. Szkice hiszpańskiego eseisty i filozofa poświęcone kulturze, historii filozofii i historii Europy.

EMIL CIORAN: *Na szczytach rozpacz*, Oficyna Literacka 1992, cena 40.000 zł.

Pierwsza w Polsce prezentacja dzieła rumuńskiego myśliciele, mieszkającego i tworzącego od 1937 roku we Francji.

ZYGMUNT HERTZ: *Listy do Czesława Miłosza, 1952-1979*. Instytut Literacki, Paryż 1992, cena 100.000 zł

KSIĄŻKA SZUKA CZYTELNIKA:

ANTONI GAWIŃSKI: *Przygody Okruszka. Czarodziejska historia*, Reprint 1992, cena 25.000 zł. Pierwsze po wojnie wydanie baśni dla dzieci z serii Książek Zaczarowanych.

ANTONI GAWIŃSKI: *Lolek Grenadier. Czarodziejska historia*, Reprint 1992, cena 25.000 zł. Historia chłopca przeniesionego przez dobrą wróżkę do armii Napoleona, w której został najmłodszym grenadierem.

SMECZ: *Z ukosa*, Instytut Literacki 1992, cena 33.000 zł. Felietony autora „Kultury” krytycznie oceniającego rzeczywistość polską ostatnich dwóch lat.

EMIL ZEGADŁOWICZ: *Zmory. Kronika z zamierzonej przeszłości*. Wydawnictwo Literackie 1992, cena 50.000 zł. Wydana w serii „ABC — Klasyka dla każdego” powieść uważana w latach 30-tych za skandal obyczajowy.

JULIUSZ KYDRYŃSKI: *Lena czyli rzecz o aktorze*, Oficyna Literacka 1992, cena 22.000 zł.

Artystyczny i psychologiczny portret Ireny Eichlerówny — fascynującej indywidualności polskiego teatru. Książka napisana w 1964 r., dopiero po śmierci aktorki (1990) ukazała się w druku.

BOLESŁAW DAŃKO: *Nie zdążyli do Andersa (Berlingowcy)*, Polskie Studio Wydawnicze UNICORN 1992, cena 55.000 zł.

Książka żołnierza, który z obozu pracy koło Archangielska trafił do Berlinga zamiast do armii Andersa. Książka nie mogła ukazać się w 1982 r. Mówi prawdę o Berlingu i jego żołnierzach, fałszowaną po wojnie w Polsce.

Księgarnia „Sonet”, Radom, ul. Żeromskiego 27

CZYTELNICZY SZUKAJĄ KSIĄŻKI:

TOM CLANCY: *Kardynał z Kremła*, Wydawnictwo Adamski i Bieliński 1992, cena 68.000 zł.

Współczesna powieść szpiegowska znanego pisarza amerykańskiego, autora *Polowania na „Czerwony Październik”*. Przedstawia rywalizację dwóch najsilniejszych central wywiadowczych — CIA i KGB.

FIODOR DOSTOJEWSKI: *Zbrodnia i kara*, Wydawnictwo „Puls” 1992, cena 42.000 zł.

Klasyczna powieść zaliczana do kanonu literatury światowej, wydana w serii „Z dzieł Fiodora Dostojewskiego”.

HARRY HARRISON: *Zima w Edenie. Na zachód od Edenu. Powrót do Edenu*. Wydawca Phantom Press International 1992, cena jednego tomu ok. 38.000 zł.

Trzytomowa saga o miłości, okrucieństwie, odwadze i nadziei. Autor opisuje zmagania potomków dinosaurów z ludźmi o przyszłość ziemi.

MARIA DĄBROWSKA: *Noce i dni*. Wydawnictwo ELIPSA 1992, cena 2 tomów — 172.000 zł.

Ilustrowane wydanie znanej powieści z lat trzydziestych: duża czcionka zastosowana z myślą o czytelnikach słabo widzących.

MICHAEL GRANT: *Dzieje dawnego Izraela*, PIW 1992, cena 68.000 zł.

Książka znanego historyka angielskiego, którego kilka książek ukazało się już w Polsce, m. in. *Neron i Miasta Wezwiusza*. W najnowszej ukazana jest historia Izraela od czasów najdawniejszych do zburzenia Jerozolimy w 70 roku nowej ery.

PAUL JOHNSON: *Historia świata od roku 1917 do lat 90-tych*, Wydawnictwo PULS 1992, cena 108.000 zł.

Książka stanowi dramatyczny bilans XX wieku: ukazuje narodziny faszyzmu i komunizmu, upadek tradycyjnych wartości i autorytetów, zmiany wynikające ze skutków drugiej wojny światowej, m.in. powstanie państw komunistycznych, dekolonizację państw afrykańskich i azjatyckich, powstanie supermocarstw. Rozszerzone wydanie książki powstało po rozpadzie ZSRR.

DIDIER JULIA: *Słownik filozofii*, Wydawnictwo KSIĄŻNICA, 1992, cena 72.000 zł.

Książka z serii Słowniki i Encyklopedie Książnicy jest pierwszym wydaniem adresowanym do czytelnika masowego. Poszczególne hasła obejmują wszystkie kierunki myśli światowej, od czasów najdawniejszych do współczesności. Przejrzysty układ haseł pozwala na korzystanie z tej książki uczniom i studentom.

KSIĄŻKA SZUKA CZYTELNIKA:

TRUMAN CAPOTE: *Muzyka dla kameleonów*, PIW 1992, cena 34.000 zł.

Ostatnia książka, która ukazała się za życia autora (zm. 1982). Składa się z sześciu opowiadań, jednej krótkiej powieści i siedmiu tzw. portretów konwersacyjnych. Na końcu ekshibicyjny wywiad autora z samym sobą.

NORMAN MAILER: *Pieśń kata*, PIW 1992, cena 88.000 zł.

Dwutomowa powieść wybitnego pisarza amerykańskiego, oparta na prawdziwych zdarzeniach. Jej bohater, psychopatyczny morderca po uświadomieniu sobie własnego czynu domaga się wykonania na sobie wyroku śmierci.

TOMASZ MANN: *Buddenbrookowie*, Warszawski Dom Wydawniczy 1992, cena 128.000 zł.

Dwutomowa powieść wybitnego pisarza wielokrotnie wznawiana. Jest literackim obrazem dziewiętnastowiecznej rodziny mieszczańskiej.

GABRIEL GARCIA MARQUEZ: *Sto lat samotności*, PIW 1992, cena 32.000 zł.

Wznawienie powieści kolumbijskiego pisarza, noblisty, przedstawiciela realizmu magicznego w powieści. Książka ukazuje stulecie dzieje mieszkańców mitycznej wsi Macondo.

ROLAND PENROSE: *Picasso*, PIW 1992, cena 58.000 zł.

Brytyjski krytyk sztuki i malarz surrealista napisał kilka książek o Picasso, a także o hiszpańskim malarzu Miró. Ostatnia książka jest rzetelnym portretem artysty, współtwórcy sztuki XX wieku.

MARIA PESTKOWSKA: *Uchodźcze pasje*, Edition Dembiński, cena 48.000 zł.

Podtytuł książki: *Władysław Sikorski a polska społeczność emigracyjna na zachodzie 1939-1943*. Ukazuje ona zakulisowe działania rządu polskiego w czasie wojny do śmierci generała.

WITOLD RODZIŃSKI: *Historia Chin*, Ossolineum 1992, cena 80.000 zł.

Historia państwa od jego początków do czasów rewolucji kulturalnej w Chinach współczesnych. W książce tablice, indeksy, mapy i ilustracje.

Camera obscura

W tłumaczeniu utworu „To ja — Edeczek” rosyjskiego pisarza E. Limonowa (podpisany literami A. Ż) w „Polityce” (nr 1) czytamy: „o niewolnikach frakijczyk”. Wcale nie po prostu — bo cóż to za narodowość „frakijczyk”? Gdyby tłumaczka chwilę się zastanowiła i zajrzała do encyklopedii, dowiedziałaby się, że narodowość, o której tu mowa, nosi po polsku nazwę — Trakowie. (hm)

Ewa Marynowska („Gazeta Wyborcza” nr 12) ubolewa, że pamiętnika Ferdynanda Goetla „Czas wojny” wydanego w Londynie „nie ma w bibliotekach polskich”. Wydaje się to mało prawdopodobne, ale nie będziemy się spierać, bo nie sprawdzaliśmy. To pewne jednak, że w r. 1990 książkę tę wydano w kraju i jeszcze teraz można ją kupić w księgarniach. (hm)

W wydanym ostatnio tomie „Nasz starszy brat” (w opracowaniu Tadeusza Różewicza) zamieszczono reprodukcję listu redaktora „Polski Zbrojnej” z 25.V.1938 zawiadamiającego Janusza Różewicza, że w konkursie poetyckim otrzymał drugą nagrodę za wiersz „Żołnierz modlący się”. Choć w książce jest ok. 30 wierszy Janusza, nagrodzonego wiersza nie ma. Co więcej, pominięto go również w wykazie „wierszy publikowanych za życia Autora” (s. 227). Tymczasem trudno przypuścić, by „Polska Zbrojna” nagradzanego wiersza nie drukowała. A zresztą — można go znaleźć w znanej „Antologii współczesnej poezji polskiej 1918-1938” Ludwika Frydego i Antoniego Andrzejewskiego z r. 1939 (s. 339-340). (hm)

W artykule Andrzeja Szczypiorskiego („Polityka” nr 3) mowa o tym, że Szela „sotniom kozackim wydawał tych nielicznych, którzy chwycili za broń przeciw znikczemnienu”. Szela jest w tym artykule postacią symboliczną, niemniej i taką postacią jako niezręcznie łącząc z „sotniami kozackimi”, skoro rabacja Szeli objęła wyłącznie zabór austriacki, gdzie żadnych „sotni kozackich” oczywiście nie było. (hm)

Andrzej Wróblewski w książce „Być Żydem” opowiada, że za czasów stalinowskich (z kontekstu wynika, że także i w Polsce) nie wolno było grać „Hamleta”, bo nie spodobał się Stalinowi. Nie jest to zgodne z faktami. „Hamleta” grano np. w r. 1932 w Teatrze im. Wachtangowa, w r. 1947 w Erywanii, w r. 1948 w Witebsku. A w Polsce w r. 1947 w Teatrze Polskim w Warszawie, w r. 1950 — w Teatrze poznańskim. (hm)

Kazimierz Kutz opowiada Tadeuszowi Kraśce („Pasjans Telewizyjny, s. 74), że „w połowie lat trzydziestych król Lear był grany przez wielkiego aktora Michelsona”, który „za swą grę zapłacił życiem”. Najpierw: aktor, o którym mowa, nazywał się nie Michelson, lecz Michoels (właściwe nazwisko: Wowski). Następnie: zginął on, w niewyjaśnionych okolicznościach, najprawdopodobniej z woli Stalina, ale dopiero w r. 1948 — i jakiegokolwiek związku między tym zabójstwem a rolą króla Leara trudno się dopatrzeć. (hm)

kłuwaniu oficjalnych uroszczeń, na ukazywaniu niskich pobudek u głosicieli wzniosłych ideałów. Każdemu się dostało; oczywiście i Napoleonowi przedstawianemu przez Anglików jako pokraczny karzeł z haczykowatym nosem, w stosownym kapeluszu, ćwiartujący Europę i rozdający najlepsze kąski krewniakom.

Długo można dumać nad morałem tego bogatego epigramatu w obrazach. Siegał tam, gdzie literatura nie docierała. Miał gębę niewyparzoną, ale potrafił wygarnąć kawę na ławę tym, przed którymi inni drżeli. Bo też zarówno w Anglii, jak i we Francji czy w Holandii mimo wyzysku, mimo nierówności społecznej, mimo nadużyć władzy — o tych sprawach można było mówić i można było pisać: rysować i piętnować. Przez to zaś — rozprawiać się z ambicjami despotów i nie dopuszczać do tyranii. I to w czasach kiedy od Syberii po Portugalię Europa jęczała w ryzach despotów, zaborców i świętoszków. Myślę, że tacy artyści jak Rowlandson, Cruikshank, Gilray i wielu innych anonimowych twórczych szyderców, wszyscy półświadomie, ale za to efektywnie opowiadali się po stronie wolności w walce z despotyzmem. Być może ktoś nie zgodzi się ze mną i powie: przecież Hitler miał „Sturmera”, a Stalin „Krokodyla”. To też była karykatura polityczna. Może chciała nią być, ale właściwie nigdy się nią nie stała, bo w systemie totalitarnym wolno się oficjalnie śmiać nie z policjanta, tylko z aresztowanego w kajdankach. A to nie sztuka.

Stanisław Frenkiel

„KRAKOWSKA” — GŁOS POLSKIEGO POŁUDNIA

Obszernie piszemy o kulturze i sztuce

Oferujemy skuteczną reklamę w pięciu województwach

Biuro Ogłoszeń:

Kraków,
ul. Starowiślna 2
tel. (0 12) 22-20-12
fax (0 12) 22-15-63



DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. **Wydawca:** Krakowska Fundacja Kultury, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. **Adres Redakcji:** ul. Wielopole 1, 31-072 Kraków. **Redakcja:** Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran (sekretarz redakcji), Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas. **Współpracują:** Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Waław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. **Skład i łamanie:** Oficyna Literacka, Kraków, ul. Sokołowskiego 19. **Druk:** Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. **Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.** ISSN 0867-4094

Dziwne narzekania demokratów

Włodzimierz Maciąg

Zujemy, jak twierdzą nasi nerwowi żurnaliści, w stanie zamętu. Upadają podobno nasze autorytety jeden za drugim, nikt nikomu nie daje już wiary i wszyscy wystawieni są na bezpodstawne oskarżenia. Nie ma mądrych, a rozgłos zdobywa ten, kto głośniej krzyknie. I tym krzykiem jeszcze skuteczniej się kompromituje. I tak to hałas wzniesiony przez niektórych pozał się boże „mężów stanu” zaczyna być rozpoznawany jako duchowy stan całej zbiorowości. Wspierają to przekonanie wszystkie gazety codzienne, twierdzą one, że zapas moralna naszego życia publicznego sięga dna.

Może warto więc uświadomić sobie, że hałas ten, atmosfera pełnych nienawiści rozgrywek partyjnych, ogarnia bardzo niewielką liczbę oszałałych ambicjami małych ludzi, którzy przypadkiem dostali się na pierwsze strony gazet i wyobrazili sobie, że zostali powołani do reprezentowania społeczeństwa. Te ich odwołania się do liczb wyborców, do procentów na wykazach zdobytych mandatów! W „Pamiętnikach czyli Historii Polski” ks. Jędrzeja Kitowicza jest kilkunastu opis biesiady alkoholowej, którą przygotował w Warszawie pruski wielkoryząca po przejęciu władzy na tych ziemiach po III rozbiórce Rzeczypospolitej szlacheckiej. Biesiada miała dać wyraz radości poddanych z okazji wcielenia Warszawy do Prus, a dalej miała być wyrazem holdu dla nowego króla Fryderyka Wilhelma II. Pytanie za 100 punktów: czy ta haniebna galówka udała się wielkoryzący? Otóż udała się i to nadszperowanie. Kitowicz z prawie masochistyczną zawziętością opisuje, jak hucznie bawił się uszczęśliwiony lud warszawski, jak żarł i pił za darmo, jak głośnie wołał o sprawiedliwości, jakiej dostąpił. Niewiele trzeba było, aby skusić tego „wyborcę” i wielkoryząca mógł wysłać do Poczdamu stosowny raport: lud Warszawy wybrał cię, najjaśniejszy panie. Bo do biesiady usiadły nie dziesiątki i nie setki, ale tysiące stołecznych obywateli. Przy stołach powtarzano sobie z pewnością, że król Stanisław dał się kupić carycy, postawie wzięli swoje i uciekli, że prymas był zdradcą i tak dalej. Że, słowem, autorytety upadły. I trzeba patrzeć, z czego się żyje. Tak to Kitowicz, a właściwie sama historia, pouczyła nas, co to takiego vox populi i co to takiego mądrość ludu. Demokracja czyli opinia większości jest wartością, ale jest równocześnie żywiołem dzikim i nieobliczalnym, zaufać jej nie można, choć trzeba ją pracownie i wytrwale pielęgnować.

Nie przesadzajmy więc z tym upadkiem autorytetów. One istnieją — jak się to mówi — w innym wymiarze i zawsze są do odnalezienia. Ale trzeba zdobyć się na trochę wysiłku, jakiegoś skupienia, jakiejś może lektury? W tym obrazie Kitowicza wykreślonym starannie z podręczników (choć powinien tam być!) nie to najbar-

dziej porusza, że lud bywa tak przekupny, tak okropnie „niemoralny”. O wiele silniej przemawia do mnie głupota tych ludzi. Rozmiary tej głupoty. To się zresztą powtarza w historii jak żelazna reguła: że demokracja kompromituje się i upada poprzez głupotę. Nie żadna tam rozwiąłość, ani żadne zwątpienia w sensowność porządku społecznego (tak upadają systemy oligarchiczne), ale bezczelna, jawna, zadufana w sobie głupota. Pewność siebie: że ma większość po swojej stronie. Szantaż tego głosu większości. Jego terror. U wszystkich przeciwników demokracji, od antyku począwszy, pojawia się to ostrzeżenie przed triumfującą głupotą, która nie waha się sięgnąć po siłę (większość), kiedy brakuje jej racji. Demokracja nie musi wcale ulec dyktaturze, aby odsłoniła się jej słabość, ona sama ma w sobie pierwiastek niszczycielski: że się rządzi opinią (głupszej) większości.

Więc autorytetów nie może ona lubić, ani tym bardziej ich tworzyć. I to z krzykiem ogłaszane upadanie autorytetów jest jej w gruncie rzeczy na rękę: tak rodzi się puste miejsce do zdobycia. Dla głupoty, dla bezczelności, dla nieuctwa. Dla tego nieodpowiedzialnego, kapryśnego demona, jakim jest konwenans panujący — wieczny pościg za tym, co uchodzi za obowiązujące. Jakżeż mówić o autorytecie człowiekowi, który myśleć chce i przeżywać „jak wszyscy”. O modzie mówi się, że jest „beźmyslna”. Ale nie do pomysłenia jest społeczność, która lekceważyłaby modę. Beźmyslność staje się naturalnym biegiem rzeczy pożądanym pierwiastkiem życia.

Czy ty jednak nie nadużywasz mojej cierpliwości? — powie mi w końcu czytelnik. Cóż to, wszyscy mamy być mędracami? A moje święte prawo do relaksu, do zabawy, do rozrywki? Jakież to ponure byłoby: wymagać od każdego, aby się męczył w podobnych poszukiwaniach? Już Faust dobrze wiedział, że to daremne. Znamy w końcu system, który wymagał od wszystkich „naukowego światopoglądu”. I wiemy, do czego to prowadzi.

Milknę więc z moim zrędem. Może istotnie demokracja daje się utożsamiać z beźmyslnością? Może to wygodnie będzie, aby o wszystkim rozstrzygały ankiety CBOS-u i innych tego typu instytucji, które objaśniają mnie, że ludzie wolą być zdrowi i bogaci, nie zaś chory i biedni? Że wolą cieszyć się raczej niż smucić? Nie oczekujemy jednak, aby w świecie tak urzędzonym mądrość była w ogóle potrzebna. Aby mogła zainteresować kogośkolwiek. Weźmy nasz los we własne ręce i dorabiamy się, jak kto potrafi. Tylko przestańmy narzekać, że upadają autorytety, bo one muszą marnieć i ginąć w podobnym wyobrażeniu świata. Kolejna ankieta ustali listę rankingową, kto jest lubiany bardziej od innych. Dobrze jest wiedzieć, kogo należy lubić i na ile procent.

TEATRZYK RYSUNKOWY



Rys. Aleksander Pieniek

HYDE PARK czytelników

Ostatnio otrzymaliśmy tomik utworów nagrodzonych w ósmej edycji konkursu poetyckiego o LAUR TARNOWSKIEJ STARÓWKI. Warto podkreślić wysoki poziom, różnorodność zainteresowań i wielość poetyk, uprawianych przez poetów-laureatów. Pozwalamy sobie zacytować niepokojący utwór RYSZARDA SIDORKIEWICZA, który otrzymał III nagrodę.

CZARNA PIOSENKA

zrób mi mamę czapkę na drutach
taką czarną pod kolor butów

żeby zawsze była pod ręką
wbrew sezonom taka czarna wierność

ona za mną przede mną i przy mnie
zrób mi czapkę na czarną godzinę

maskującą barwę nadziei
wbrew szarości przeciw spranej bieli

żeby było tak czarno na białym
zrób mi czapkę czarną mamę

Edward Clerihew Bentley

BIOGRAFIE DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Ludwik Pasteur
1822-1895

— Czemu nie bywasz w domu Pasteura?
— Czuć tam potworny smród kamambra.
— Czemuż on ciągle śmierzący ser je?
— Chciałby raz wreszcie rozgryźć bakterie!

Alfred Nobel
1833-1896

Rzekł Alfred Nobel: — I na co mi tu
Pieniądze, które mam z dynamitu?
Mam przepić? Będę pluł sobie w brode...
Lepiej przeznacze je na nagrodę!

Sir William Perkin
1838-1907

(twórca pierwszego barwnika syntetycznego — moweiny)

Nigdy peruki lonowej Perkin
Nie nosił (zwa ją Anglicy merkin).
Gdy stanąć nago miał przed dziewczyną,
Barwił podbrzusze swe moweiną.

Karol Olszewski
i Zygmunt Wróblewski
1846-1915 i 1845-1888

— Słuchaj, Karolu — mówi Wróblewski —
Nalej mi wody. Chcę zrobić neski.
Na to Olszewski: — Wody tu nie trza.
Nalej se, Zyziu, trochę powietrza.

Iwan Pawłow
1849-1936

Ktoś raz Pawłowa spytał: — Iwanie,
Czy dzwonek do drzwi kupno masz w planie?
— Nie. — A dlaczego? — Prosta przyczyna:
Gdy dzwoni dzwonek, cieknie mi ślina!

Piotr i Maria Curie
1859-1906 i 1867-1934

— Mario! — strofuje Piotr Curie żonę —
Znow nie ma węgla! Palmy polonem!
— Polon? Za krótki okres rozpadu.
Oszczędniej będzie używać radu!

Ernest Starling
1866—1927

(odkrywcą hormonów)

Rzekł w noc poślubną znużony Starling:
— Chyba za wiele wymagasz, darling.
— No wiesz? — szepnęła z wyrzutem żona —
To po coś tyle płótł o hormonach?

Albert Einstein
1879-1955

— Albercie — mówił ktoś do Einsteina —
Twoja teoria jest całkiem fajna!
Ten tysiąc marek (czas to pokaże)
Oddam ci chyba w czwartym wymiarze!

Alexander Fleming
1881-1955

Wielu psychiatrom skarżył się Fleming,
Że go wciąż we śnie nawiedza leming.
Odkąd się zaczął kurować pleśnią
Już mu się żadne lemingi nie śnią.

Edward Clerihew Bentley
1875-1956

Kiedyś pan Edward Clerihew Bentley
Chciał się powiesić, lecz nie miał petli.
Ktoś mu doradził, że szlag go trafi.
Gdy spisie wierszem tysiąc biografii.

wybrali, przełożyli i uzupełnili:
Joanna Jabłońska
i Mikołaj Szymański

19.1.93
Pozdrowienia z Hong Kongu:
Wiedzą tu o Maciągu,
Balbusie i Walasie,
Bo Chińczyk w swojej masie
Stawił się na odczynie,
W którym mu należycie
Przedstawiłem ponury
Obraz polskiej kultury,
Istniejącej w zasadzie
Tylko dzięki „Dekadzie”.

Z serdecznościami,
Stanisław Barańczak

